

portret

online45

recenzje

## Stary człowiek i młodość

O tym, że to powieść rumuńskiego indologa, filozofa kultury, eseisty i – co dla czytelnika zapewne najważniejsze – pisarza, dowiadujemy się, jeśli nie dzięki wiedzy własnej, odnoszącej się do znajomości osiągnięć człowieka kryjącego się pod, zapisanym na okładce, nazwiskiem, to dzięki wydawcy, który raczy nas krótką notką biograficzną. Dla przeciętnego Kowalskiego, który nie podziela z panem Eliade, bo tak brzmi nazwisko autora „Młodości stulatka”, zainteresowań, ta notka może nie być wystarczającą zachętą, by zmierzyć się z tak ambitnym (lenistwo, oczywiście) dziełem. Gdyby jednak ów Kowalski postanowił sięgnąć po tę lekturę, to...

To miałby możliwość poznać historię Dominika Matei, który w Wielkanoc (to nie przypadek!) 1938 roku udał się do Bukaresztu, by popełnić samobójstwo. W pobliżu cerkwi, na oczach przechodniów, w siedemdziesięcioletniego Dominika uderza piorun. Za paradoks można uznać fakt, że to wydarzenie nie tylko ratuje mu życie, ale wręcz mu je zwraca: dochodzi do biologicznej regresji i Dominik „odradza się” w młodszym ciele, z lepszą pamięcią, z większą wiedzą, z nieskończone

wielkimi możliwościami intelektualnymi. Przyczyn tego wyjątkowego zdarzenia medycyna nie jest w stanie wyjaśnić. Po krótkiej hospitalizacji, Dominik przenosi się do miejsca, w którym nadal pozostaje pod ochroną lekarzy. Wszystko w największej tajemnicy. Jego przypadek budzi wielkie zainteresowanie nie tylko dziennikarzy i zwykłych ludzi, ale również nazistów, którzy szukają potwierdzenia dla teorii niejakiego doktora Rudolfa, który uważał, że porażenie prądem o odpowiednio wysokim napięciu, może przynieść pozytywne zmiany w organizmie rażonego. Aby schronić się przed Gestapo, Matei zmienia tożsamość i zmienia miejsce zamieszkania.

Gdyby Kowalski postanowił czytać dalej, to mógłby się przekonać, że Eliade wcale nie stara się sugerować, że wieczna młodość jest czymś, o czym warto marzyć. Tłumacz polskiego wydania, Ireneusz Kania, w postłowie przywołuje rumuńską baśń. Jej bohaterem jest królewicz, który na świat zdecydował się przyjść dopiero wtedy, gdy ojciec obiecał mu nieśmiertelność i wieczną młodość. Kiedy książę dorasta i dowiaduje się, że obietnica ojca jest niemożliwa do spełnienia, postanawia sam ruszyć w drogę, by odnaleźć kogoś, kto zapewni mu wieczne życie. Jego marzenia się spełniają, gdy dociera do krainy zamieszkałej przez wróżki. Królewicz poślubia najmłodszą i najpiękniejszą z nich i wie dzie szczęśliwe życie do chwili, w której uświadamia sobie tęsknotę za miejscami, które kiedyś kochał, za najbliższymi jego sercu ludźmi i wspomnieniami. Jednak powrót, prócz rozczarowania tym, że wszystko minęło na zawsze, przynosi również starość i... śmierć. Aż nazbyt oczywiste jest, że i dla Dominika Matei, ta cudem odzyskana młodość, nie będzie oznaczać wyłącznie szczęścia, a stanie się nawet przyczyną czegoś zupełnie innego.

Gdyby Kowalski czytając tę powieść, odczuł silną potrzebę wzruszeń, to proszę bardzo. Rumuński pisarz za dbał i o to. Pojawia się bowiem wątek miłosny. Oto bohater poznaje, w dość nieoczekiwanych okolicznościach, Weronikę. I chociaż wydaje się, że ten związek jest szansą dla obojga, to Dominikowi przyjdzie podjąć niezwykle bolesną i trudną decyzję: będzie musiał wybrać pomiędzy egoizmem a miłością. Pomiedzy szansą na dokończenie dzieła swojego życia, a dobrem ukochanej osoby.



Czytając „Młodość stulatka”, można odnieść wrażenie, że Eliade nie najlepiej się czuje w roli pisarza. Przyzwyczajony do traktatów i artykułów naukowych, zmuszony był niejako zmienić styl pisania na powieściowy zamiast „eseistycznego”. To się czuje. Niestety. Wnioski? Warstwa językowa nie zachwyca. Środki stylistyczne nie porażają. Ma się nieustanne poczucie, że forma nie jest ważna. Liczy się treść. A może nawet i nie ona. Bo przecież gdyby tak było, to Eliade zamiast pozostawiać możliwości, udzielałby odpowiedzi. Realizm wyniósłby nad surrealizm, a wszystko okraszyłby zgrabną puentą i jeszcze zgrabniejszym morałem. Nic z tego. Mircea Eliade pozostawia miejsce nie tylko na własne refleksje, ale też na własną interpretację zdarzeń, które opisał w swojej powieści.

Powieść Eliadego kończy się w Boże Narodzenie, co podobnie jak rozpoczęcie fabuły w Wielkanoc, nie jest przypadkiem. Zmieniennym jednak wydaje się fakt, że symbolika tych świąt wydaje się niejako zamieniona czy odwrócona. I trudno nawet określić, czy jest to swoisty prztyczek w nos dla tych, którzy spodziewali się łatwych do przewidzenia odniesień, czy raczej kolejny dowód na to, że Eliade każdą hipotezę traktuje na równi z inną. Wydaje się być bowiem jasne, że autor niczego nie mówi wprost, nic nie jest pewne na 100%, a żadna teoria nie jest lepsza czy gorsza od pozostałych.

Gdyby Kowalski dojrzał do końca tej powieści, to mógłby sobie powiedzieć, że oto przeczytał coś, co zachwycało Coppolę. Francisa Forda, uściślijmy. Mógłby też ze spokojem udać się do kina, by porównać powieść z jej ekranizacją. Mógłby. Ale po co? Skoro książka, mimo iż zapewne ma takie aspiracje, wcale nie poraża ani głębią przekazu, ani doborem środków językowych, ani nawet bogactwem odniesień, powiązań, nawiązań itp. „Młodość stulatka” jest powieścią, którą czyta się w jeden wieczór i tyleż czasu się jej poświęca. Ignorancja? Zapewne. Uzasadniona? Nie do końca. W świecie młodych konsumentów, starość nie jest w cenie, a młodość wydaje się czymś pewnym i danym na zawsze. I nikt nie chce wierzyć, że wcale nie musi być największą wartością. Niestety.

*Mircea Eliade,  
Młodość stulatka,  
przeł. Ireneusz Kania,  
Wyd. W.A.B.,  
Warszawa 2008.*

# Spójrz w oczy Marzanny M.

*Czas jest swoistą lupą ludzkiego mózgu, skoro oddala – to i wyostrza, czyni wszystko jasnym i obnażonym z sukienek subiektywności. Nieziemską piękność ukochanej okazuje się po czasie tylko różowymi okularami uczucia. Troskliwość partnera po latach objawia swe autentyczne oblicze dominacji. Przyjaźń do grobowej deski w końcu w jakimś miejscu utyka i zrywa się, ukazując swoją rzeczywistą słabość czy interesowność. Jednym słowem, czas wbrew obiegowym opiniom okazuje się sprzymierzeńcem prawdy, a we wszelkich relacjach międzyludzkich objaśnia ich podstawy – głębię, powody przywiązania oraz skutki. Tylko prawdziwi przyjaciele mogą spotykać się regularnie co kilka lat i nie odczuwać przed takim spotkaniem strachu, a po nim – niesmaku. Tylko prawdziwa miłość potrafi zagryźć wargi w codziennej bezinteresownej krzątaninie wokół obiektu swoich uczuć... O takich właśnie zależnościach opowiada druga powieść Grażyny Jeromin-Gałuszki „Oczy Marzanny M.". Prawda w tej opowieści długo spoczywa w woalu uprzedzeń, stereotypów, odczuć, subiektywizmu – gdyż czas jest bardzo cierpliwy i lubi mieć ostatnie słowo, aby w końcu tym bardziej uczynić wszystko niezwykle klarownym. Dlatego też zdanie „Z daleka zobaczył... – z bliska ten obraz nie był tak jednoznaczny” – oto klucz do powieści Jeromin-Gałuszki. Maski, czy nawet wręcz kostiumy, każdego z bohaterów historii z daleka wydają się wręcz nieskazitelne, ba! – każdy obserwator dałby głowę, iż widzi skórę i naturę, a nie kaptur i grę. Co okazuje się na końcu.*

*Prozę Jeromin-Gałuszki niewątpliwie i automatycznie zalicza się do nurtu „kobiecego”. Głównymi bohaterkami „Oczu...” są bowiem kobiety oraz ich pojmowanie rzeczywistości, filozofia życiowa i sposób na szczęście, natomiast główny motyw historii to kobieca przyjaźń. I tak Kamila, Magda, Ramona i Julia znają się od wieków – chodziły razem do szkoły, a później utworzyły swoisty kwadrat przyjaźni „na całe życie” (zazwyczaj sprawdza się układ 1:1, ale pisarka tak wykreowała charaktery wymienionych kobiet, tak je odróżniła od siebie, iż w swoim kwadracie wzajemnie się uzupełniały, a ich już niemal wieloosobowa przyjaźń nie zaznała wewnętrznej zazdrości, a tym bardziej znudzenia). Julia to ulubienica losu i ludzi, spokojna i zrównoważona, Kamila – małomiasteczkowa ikona mody, życiowa perfekcjonistka, Magda – autentyczna doskonała pani domu, a Ramona – romantyczka, idealistka i uzależniona od obecności mężczyzn artystka. Po wejściu w dorosłość i rozstaniu dziewczyny zaczęły praktykować regularne spotkania w cyklu 5-letnim, aby się wspierać i „trzymać rękę na pulsie”. I w końcu podczas jednego z takich spotkań, oczywiście są wówczas już dojrzałymi kobietami, jedna z przyjaciółek zostaje postrzelona, na szczęście nie śmiertelnie – i dopiero się zaczyna! Po pierwsze, rodzi się ciąg pytań: „Kto strzelał?”, „Dlaczego?”, „Do kogo? Czy na pewno do Julii?” i najważniejsze – „Strzelała ręka Teraźniejszości czy Przeszłości?”. Po drugie, w tym momencie zaciekawiony czytelnik poznaje kilka mocno zarysowanych postaci męskich, bynajmniej nie drugoplanowych, ale równie ważnych i literacko pełnokrwistych bohaterów. Koło domu postrzelonej Julii krąży, przykładowo, Borys, jej wieloletni przyjaciel i (jak się później okaże) beznadziejnie zauroczony wielbiciel, zarządca i parobek w jednym (posiadłość jest wielka), samotnik, milczek, świetny gospodarz. Istny Heatcliff z „Wichrowych Wzgórz” po polsku – gdyż o złotym charakterze. Albo ten, który jest nieodłącznie związany z wątkiem kryminalnym powieści, czyli policjant Andrzej Leski, główny śledczy w sprawie niezidentyfikowanego postrzelenia. Bardzo autentycznie zarysowany, zwyczajny facet od kryminalnej roboty. Innym typem (typkiem) jest*

Grażyna Jeromin-Gałuszka

## Oczy Marzanny M.



Przeżyłki i S-ku

*mąż Julii, Piotr, człowiek nieuleczalnie uzależniony od ryzyka, czy wreszcie ulubieniec (z pewnością) czytelników – lalusiowaty, podstarzały poeta, partner Ramony... Z takiego splotu charakterków powstał całkiem udany melanz dialogów, sytuacji, zwątpień i codziennych uzależnień. Jeromin-Gałuszka za to nie poszła po linii najmniejszego oporu i nie opisała powieściowych czarnych charakterów, kluczowych zresztą dla akcji historii. W ten sposób dała do zrozumienia, iż wątek kryminalny – od którego wszystko się zaczyna i który wydaje się kołem zamachowym całej powieści – nie jest najważniejszy, ale te drobne, niemal niezauważalne napięcia między ludźmi i powstająca z nich rzeczywistość. Tak też się stało: sprawa kryminalna rozwiązała się nie tylko dzięki dedukcji Leskiego, lecz niejako metodą „psychologiczną”, to znaczy bohaterki przez wzajemną psychoanalizę, przez rewolucję zmian w swoim obecnym życiu i wreszcie przez odkrycie źródła przeszłości, odnalazły sedno życiorysów własnych oraz swoich mężczyzn. Odnalazły przyczyny fatalnego strzału, który wbrew pozorom był w ich wspólnej historii jedynie prezentem-pretekstem z ręki Losu.*

*Z przyjemnością warto podkreślić, iż w stosunku do debiutanckiej powieści Jeromin-Gałuszki, czyli „Złotych nietoperzy”, „Oczy Marzanny M.” stanowią produkt bardziej dojrzały i interesujący. Pisarka stworzyła udane połączenie kryminału z powieścią obyczajowo-psychologizującą: postaci są głębsze, lepiej zarysowane, a ich różnorodność przyjemnie pobudza czytelnika. I jeszcze jedno: wątki historii mimo skomplikowania pozostają prawdopodobne w (co ważne!) prawdopodobnych realiach. Nieźle – „Oczy Marzanny M.” patrzą szczerze.*

*Grażyna Jeromin-Gałuszka,  
Oczy Marzanny M.,  
Wyd. Prószyński i S-ka,  
Warszawa 2008.*

# Głos, który przetrwał

Serbski emigrant przybywa do Kanady wraz z taśmami, na których nagrał wspomnienia matki. Po latach odsłuchuje zapisaną na taśmach opowieść. Wyznania matki skłaniają go do napisania powieści.

Narrator „Mamidła”, którego imię pozostaje nieznane, wielokrotnie podkreśla, że pisać nie potrafi: „nigdy nie zdołam połączyć słów tak, by dwa słowa tworzyły trzecie, niewypowiedziane, bądź też coś poza słowami”. Zaznacza, że nie umie we właściwy pisarzom sposób posługiwać się słowem, a jednak robi to po mistrzowsku. Znakomicie radzi sobie z wyzwaniem, jakim było spisanie historii matki i uczynienie z niej powieści. Książka pełna jest refleksji na temat życia, śmierci, bólu i poszukiwania własnej tożsamości. Te kwestie są niezwykle bliskie każdemu człowiekowi, bo każdego z nas dotyczą. „Mamidło” w doskonały sposób porusza aktualne problemy. Mnóstwo tutaj bardzo trafnych myśli i cennych uwag wartych zapamiętania, które jednych poruszają, innym zaś mogą po części pomóc zrozumieć siebie, gdyż powieść ta jest swojego rodzaju niezwykle intymnym rachunkiem sumienia. Nie jest to proza łatwa w odbiorze, wymaga od czytelnika skupienia i uwagi, jednakże po skończeniu lektury stwierdza się, że warta była tej odrobiny wysiłku intelektualnego, którego w ostatnich czasach przestaje się wymagać od odbiorcy kultury.

„Mamidło” to nie tylko spisana z nagrań na taśmach historia przeplatana rozważaniami narratora. W powieści w jedną główną opowieść wplecionych jest wiele mniejszych pozornie niedostrzegalnych opowieści.

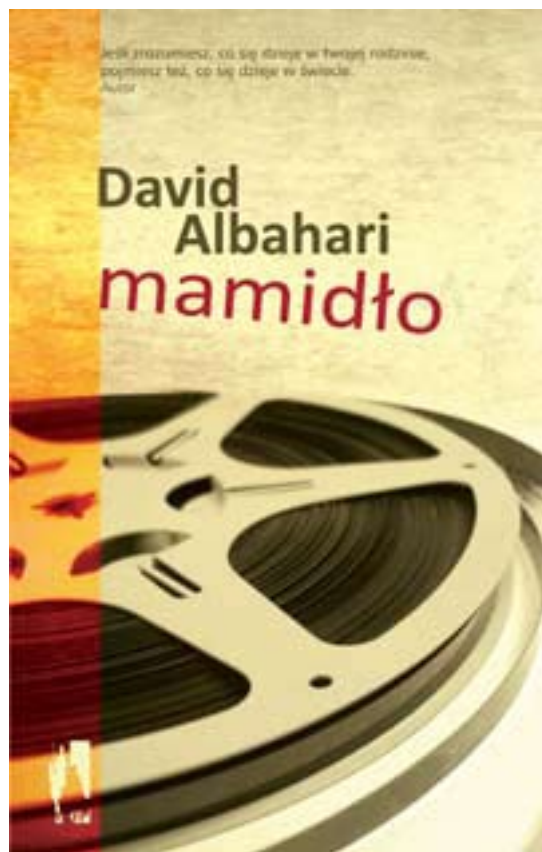
Opowieść o tożsamości. Narrator jest serbskim Żydem, europejskim emigrantem mieszkającym w Kanadzie. Pochodzi z kraju, który zniszczono, mieszka w kraju, w którym wciąż czuje się obco: „ten obcy język wciąż przypomina mi, że tu nie należę”. Bohater „Mamidła” tak naprawdę nie ma własnego miejsca na ziemi, a może nie potrafi go znaleźć. Ten brak poczucia własnej tożsamości i tęsknota za korzeniami to aspekty, dzięki którym książka staje się tak bliska odbiorcy. I chociaż niektórych przesadny momentami sentymentalizm może drażnić, to jednak należy przyznać, że jest tu potrzebny, nadaje całości specyficzny klimat.

Opowieść o różnicach. Powieść niezwykle trafnie ukazuje odmienny sposób myślenia i percepcji rzeczywistości mieszkańców Starego i Nowego Kontynentu. „Wy, Europejczycy, zawsze myślicie, że życie jest czymś więcej niż to co widać [...], że za każdym lustrem istnieje paralelny świat”. O różnicach między Amerykanami i Europejczykami w dobie powszechnej globalizacji już się nie mówi. Różnice jednak ciągle są i zawsze będą. Opowieść o Bałkanach. Oddaje dramatyzm i tragedię miejsc, o których wciąż wiemy niewiele i wciąż zbyt mało mówimy.

Opowieść o matce. Matka narratora jest w powieści postacią najistotniejszą. Kobieta, która podczas drugiej wojny światowej straciła męża i dwóch synów. Po wojnie ponownie zawiera związek małżeński z mężczyzną, który, jak ona, wszystko stracił. Razem próbują na nowo odnaleźć utracone szczęście. Opowieść matki to wyznania bardzo intymne, kobieta szczegółowo opisuje traumatyczne przeżycia, nie oszczędza ani siebie ani syna, który przysłuchując się jej i patrząc na ból, jaki sprawia przypomnienie trudnych wspomnień obwinia się i wypomina sobie własny egoizm. Narrator nie oszczędza własnej osoby, otwiera się przed czytelnikiem całkowicie. Brak dystansu między nadawcą i odbiorcą sprawia, że powieść staje się czytającemu jeszcze bliższa. Historia matki to głos, któremu pozwolono przemówić. Historia matki to jedna z wielu historii, które oddają tragedię ofiar wojny i jej bezsensowność dużo bardziej wyraziście aniżeli tabele, daty i statystyki.

Opowieść o języku, słowie oraz o pisaniu. O trudnościach posługiwania się językiem obcym, o strachu przed zapomnieniem języka ojczystego. Język jest mamidłem. Słowom nie można wierzyć.

Opowieść o pisarzu. David Albahari w swoich dziełach często umieszcza wątki biograficzne. I chociaż nigdy nie należy utożsamiać pisarza z narratorem w „Mamidle” występuje między nimi wiele podobieństw. Pisarz



również jest serbskim emigrantem, również mieszka w Kanadzie, a w jego prozie wyczuć można nieprzerwaną tęsknotę za ojczyzną.

Dynamiczna narracja sprawia, że nie sposób przerwać lektury. Styl, jakim została napisana zmusza do przeczytania całości natychmiast, każda przerwa wytrąca czytelnika ze specyficznego nastroju jaki wytwarza powieść. „Mamidło” to powieść do której można wracać wielokrotnie i do której wielokrotnie się wraca, gdyż jest to literatura z gatunku tych niezwykle wartościowych. Lektura nie marnuje czasu czytelnika, brak tutaj pustosłowia, którego coraz więcej. Autor waży słowa i w bardzo prosty sposób przekazuje mądrości, które bardzo wielu próbuje nieudolnie przekazywać za pomocą encyklopedycznych terminów.

Zastanawia to, czym tak naprawdę jest tytułowe „Mamidło”. Głos nieżyjącej matki odtworzony z taśm? Słowa, którym nie powinniśmy ufać? Język, który nas ogranicza? To już zależy od indywidualnej interpretacji tak jak i zresztą cała powieść.

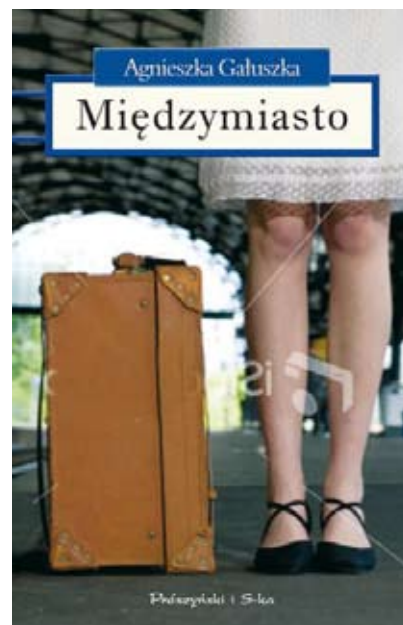
„Mamidło” zdobyło nagrodę belgradzkiego tygodnika „NIN” dla najlepszej powieści jugosłowiańskiej, nagrodę Balkanica i Brücke-Preis. To książka, której nie trzeba polecać a koniecznie przeczytać.

*David Albahari,  
Mamidło,  
przeł. Dorota Jovanka Ćirlić,  
Wyd. W.A.B.,  
Warszawa 2008.*

# Pociąg do podróży

Często najlepsze scenariusze pisze samo życie. Tak jest też z książkami. Biografie zajmują wysokie miejsca na listach bestsellerów, a przecież nie tylko one powstają w oparciu o fakty. Zasłyszane historie, a może i własne życiowe perypetie, często stają się przyczynkiem do sięgnięcia za pióro. A właściwie za klawiaturę. Książkę może dziś napisać każdy i na każdy temat. Nie masz pomysłu? Temat jest na wyciągnięcie ręki. Opisz swoją codzienność. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, że są ludzie dla których codzienność stanowią wielogodzinne podróże pociągiem. Nie licząc pracowników pociągu, oczywiście. Jadąc pociągiem, a zdarza mi się to dość często, nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogę o tym napisać książkę. Bo o czym tu pisać? O tym, że siwiejący pan naprzeciwnko twierdzi, że byłabym idealną synową, a pani obok dziwnie i uporczywie przygląda się mnie i mojej lekturze, którą chyba ocenia na zbyt poważną jak dla mnie? O tym, że początkującemu podróżnemu trudno będzie zauważyć różnicę między pierwszą a drugą klasą niektórych pociągów (na niekorzyść klasy pierwszej)? O tym, że drzwi od miejsca szumnie nazywanego toaletą nie zamykają się od wewnątrz, w związku z czym trzeba sobie czasami odpuścić wizytę w tym miejscu, gdy zastaje się tam niesłyszającego dziadka załatwiającego swoje potrzeby? Ale żeby od razu pisać o tym książkę? Co najwyżej można napisać skargę do PKP, albo dobry skecz kabaretowy. A jednak Agnieszka Gałuszka udowodniła, że może z tego powstać także dobra powieść, w której aż gęsto od obserwacji realiów naszego społeczeństwa.

Jeśli świat dworców cię fascynuje, a opowieści współpasażerów podsłuchujesz z wypiekami na twarzy - „Międzymiasto” to książka przede wszystkim dla ciebie. Ale jeśli jest wręcz odwrotnie, podróż pociągiem cię irytuje - też powinieneś ją przeczytać, aby spojrzeć na ten sposób lokomocji inaczej. Z kolei jeśli nie masz okazji podróżować pociągami, po lekturze tej książki będziesz chciał to zmienić. Przejeżdżając przez „Międzymiasto” migają nam przed oczami obrazki z dworców, peronów i przedziałów. Okazuje się, że na obraz podróży pociągiem składa się wiele puzzli. I właściwie żaden puzzle czyli rozdział nie jest zbędny, a prawdopodobnie każdy z podróżnych dołożyłby jeszcze własny element do tej układanki. Autorka niczym rasowa podróżniczka obserwuje, interpretuje i krytykuje obraz życia w drodze. Jej wielką zaletą jest ogromna spostrzegawczość. Zwraca naszą uwagę na dworcowych gawędziarzy, naciągaczy, panienki z okienek (kasowych i nie tylko), specyficzną grupę podróżnych jaką stanowią studenci, a przede wszystkim na współczesnych Beduinów czyli technomadów. Są to średniej klasy biznesmeni, przedstawiciele handlowi i wszyscy ci, którzy z notebookiem pod pachą odbywają obowiązkowe podróże służbowe. Niczym dawni kupcy czy pielgrzymi łączą się w karawany i wyruszają w drogę, obfitą w niespodzianki niczym droga przez pustynię. Porównania współczesnych podróżnych do XVII-wiecznych Arabów pojawiają się u Gałuszki często, bowiem napisała ona właściwie dwie książki w jednej. Punktem wyjściowym dla jej rozważań jest fikcyjna, jak się dowiadujemy na końcu (ale nie wiemy do końca czy w to wierzyć), książka XVII-wiecznego kupca, Attara Ibn Ibrahima, o sztuce podróżowania. Jego oczami autorka patrzy na własne wędrowanie. Przedstawia pogląd, że podróżni są jak zwierzęta. Dzieli ich na wiecznie uciekające, przestraszone antylopy, gnające za zdobyczą oceloty, węże szukające dla siebie nowej skóry i na nigdy nie nasycone szarańcze. Jeśli rzeczywiście autorka sobie tę opowieść zmyśliła, to należą jej się gratulacje za wyobraźnię. Na pochwałę zasługują też niewątpliwe umiejętności narracyjne. Znakomicie spleta wątki, powiązuje fakty i historie. Po mistrzowsku snuje gawędę i śmiał przypuszcza, że zawdzięcza to gawędziarzom, których poznała właśnie w drodze. Albo latom praktyki przy ognisku. Osobiste doświadczenie ma dla tej książki niebagatelne znaczenie, kto bowiem lepiej opowie nam o atrakcjach podróży pociągiem jak nie technomadka? Co prawda w jednym z rozdziałów zapomniała, że nie pisze wspomnień niczym Virginia Woolf i przesadziła trochę z autobiograficznymi „wyznaniami Kopciucha”, odbiegając zupełnie od tematu (w końcu Szwecja, o której w tym rozdziale pisze, to z pewnością nie międzymiasto), ale może miało to być pokrzepienie dla podróżujących za chlebem zagranicę. A tytułowe międzymiasto to świat, w którym odległości nie odmierza się w kilometrach, ale w ilości stacji kolejowych. Czy pomyśleliście kiedyś o tym w ten sposób? No właśnie. Trochę nam autorka filozofuje, ale też analizuje zachowania współpasażerów, ocenia, śmieje się z nich. Ale nie ma w tym nic złego. W końcu czy my sami tego



nie robimy? Ja, czytając, wielokrotnie kiwałam potakująco głową i odnajdywałam w pamięci podobne historie.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. To raczej nie jest książka dla turystów, wszak jak ktoś kiedyś powiedział, podróżnik i turysta to nie to samo. Turysta (inaczej podróżny wakacyjny), podróżuje dla przyjemności i często nie dostrzega tego, co my. Piszę my, bo choć daleko mi jeszcze do kilometrów przebytych przez autorkę, świat międzymiasta znam całkiem nieźle, ze wszystkimi jego cieniami (jak chociażby podróż przez ciemny las) oraz blaskami (jak wtedy, gdy siedząc po niewłaściwej stronie, oślepią nas wschodzące słońce). „Międzymiasto” zmienia postrzeganie podróży. Nas, podróżnych uczy jak stać się turystą. I odwrotnie. I blask może być cieniem, i cień może być blaskiem. Nie zapomnijmy o jeszcze jednym, ważnym przesłaniu: w podróż warto zabrać ze sobą przyjaciela, najlepiej w postaci książki.

*Agnieszka Gałuszka,  
Międzymiasto,  
Wyd. Prószyński i S-ka,  
Warszawa 2008.*

## Afryka jako cywilizacja przetrwania

Christopher Hope zdążył już przyzwyczać swoich czytelników do, nazwijmy to, afrykańskich tematów. Akcja wydanej w 1981 roku i nagrodzonej David Higham Prize for Fiction powieści autora „A Seperate Development” rozgrywa się bowiem na Czarnym Łądzie. Podobnie rzecz się ma z najnowszą powieścią Hope’a – „Kochankowie mojej matki”, w której pisarz opisuje RPA i jej mieszkańców. Swą najnowszą książkę Hope podzielił na pięć części. Podział ten nie jest, oczywiście, przypadkowy. Każda część opisuje inny fragment życia bohatera powieści. Od jego dzieciństwa, poprzez małżeństwa, ucieczki i bunty, na pogodzeniu z sobą skończywszy.

„Kochankowie mojej matki” to książka paraautobiograficzna. Hope opisuje w niej po części własną matkę – pilotkę, Beryl Markham. Nieprzypadkowy jest również fakt, że autor, podobnie jak bohater powieści, urodził się w 1944 roku w Johannesburgu. Wszystko to czyni książkę niezwykle sugestywną i wiarygodną. Hope nie przedstawia w niej Afryki widzianej zza szyb luksusowego samochodu terenowego czy znanej jedynie z przewodników turystycznych. Autor opisuje tu spostrzeżenia nie turysty, lecz mieszkańca, poniekąd człowieka stamtąd. Poniekąd ponieważ zarówno Hope, jak i bohater jego powieści, pomimo że urodzili się w Afryce, nigdy prawdziwymi mieszkańcami tego lądu się nie staną. Rdzenni mieszkańcy Afryki to, zdaniem Hope’a, jedynie czarnoskórzy Afrykańczycy. Autor „Darkest England” zauważa nawet, że choć biali kochają Afrykę, jej na nich nie zależy. Co więcej, mści się ona na nich za brutalność, z jaką w przeszłości ją zdobywali: „A ponieważ nienawiść potrzebowała celu, byliśmy nim my. Białym przyszło płacić. Podobnie jak Anglo-Irlandczycy, przenieśliśmy się w inne miejsca, gdzie zatrzymaliśmy się, osiedlili i niemal uwierzyli, że jesteśmy w domu, i jak oni myliliśmy się – byliśmy niewłaściwymi ludźmi w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie”.

Jednym z przybyłych mieszkańców Czarnego Łądu była Kathleen Healey, która miłość do Afryki przejęła od swojego ojca – uczestnika wojny burskiej, Joe’a Healey’a. Kathleen – jak to określił jej syn: „ujmowała Afrykę jako całość i kochała ją z namiętnością wolną od pragnień, by się w nią wtopić”, była ponad wszelkimi podziałami, być może pamiętała słowa swojego ojca, który stwierdził: „albo zapomnimy o różnicach, albo różnice nas pokonają”. Wychowana w Afryce Healey nie bała się jej, wręcz przeciwnie na swój sposób podbiła ją. Ona i Afryka tworzyły jedność. Kathleen była osobą nieprzeciętną – władała kilkoma językami, pilotowała samolot, jeździła konno, urządziła polowania, potrafiła boksować (przetwała trzy rundy na ringu w Mombasie z Ernestem Hemingwayem), często zmieniała kochanków (gdy odchodziła od mężczyzny, przestawała go pamiętać). Między innymi z tych powodów jej syn stwierdził po latach: „Matka zawsze była wszędzie, tylko nie w domu, gdzie jej potrzebowałem”.

Wydawca najnowszej powieści Hope’a reklamuje ją przede wszystkim jako tekst o fascynującej kobiecie. Tymczasem nie mniej ważnym niż Kathleen bohaterem książki „Kochankowie mojej matki” jest jej syn Alex. Przez to, że jest on w powieści narratorem, który często opowiada o matce, czytelnik ma wrażenie, że to jest książka właśnie o niej. Tymczasem postać Alexa jest równie silnie przez Christophera Hope’a zarysowana. To dzięki niemu poznajemy historię Kathleen, jej charakter, zachowanie. Alexander żyje w cieniu swojej matki (o uczuciu do niej mówi: „Kochałem ją w sposób, w jaki się kocha południowo-wschodni wiatr, który urywa człowiekowi głowę; kochałem ją tak, jak kocham pioruny, które zabijają ludzi w buszu”). Paradoksalnie, ponieważ ciągle od owego cienia ucieka. Dwa razy się żeni (żadne z tych małżeństw nie przetrwało próby czasu), jeździ po całym świecie, sprzedając systemy do klimatyzacji i chłodzenia. A jednak kiedy matka zaczyna chorować, powraca do niej. Nawet po śmierci jej duch go nie opuści. Ryszard Kapuściński w jednym z wywiadów stwierdził: „W Afryce fizycznie żywa część świata jest niewielka w stosunku do olbrzymiego świata przodków, w wielu sprawach ważniejszego, gdyż rządzi żywymi”. Podobnie duch Kathleen będzie rządził życiem Alexa, który po śmierci matki podejmie próbę realizacji jej testamentu.

Może się wydawać, że „Kochankowie mojej matki” to powieść-wspomnienie syna o matce, tak więc może tu być miejsce jedynie dla dwóch bohaterów. Nic bardziej mylnego. Trzeciego, być może najważniejszego, bohatera powieści odnajdujemy między wierszami. Mowa tu oczywiście o Afryce, którą Hope podnosi w książce



do rangi bohatera. Afryka nie jawi się nam jednak tylko jako sielankowa kraina jak w „Pożegnaniu z Afryką”. Hope bowiem opisuje w swojej powieści zarówno przepiękny, malowniczy krajobraz, ale także świat ogromnych różnic społecznych, biedy, chorób i przemocy. Portretuje wciąż zmieniającą się Afrykę. Jej symbolem jest Królowa Deszczu Bamadodi VI, władczyni mórz i monarchii ludu Lebalola – niegdyś czczona, w erze wodociągów wyśmiewana i traktowana jako relikwium przeszłości.

W rozmowie z Bogdanem Boruckim, Jarosławem Krawczykiem i Bogusławem Kubiszem Ryszard Kapuściński stwierdził: „słowa ‘Afryka’ zwykle używamy w wielkim uproszczeniu, a przecież to niesłychanie skomplikowany i zróżnicowany świat”. Powieść Hopa`a pozwala czytelnikowi w sposób przystępny rozszerzyć wiedzę o Afryce – kontynencie kojarzonym z malarią i biedą, ale także takim, który „potrafi skraść serce i pochować je w buszu”. Czy ta książka ma więc jakieś mankamenty? Dla mnie jest stanowczo za krótka.

*Christopher Hope,  
Kochankowie mojej matki,  
przeł. Ewa Pankiewicz,  
Wyd. W.A.B.,  
Warszawa 2008.*

## Zobacz, Aleksandra, co narobiłaś...

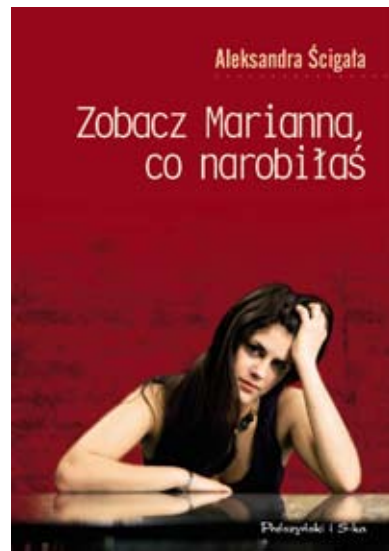
Aleksandra Ścigała napisała powieść o czymś, o czym – jak się wydaje – nie ma najmniejszego pojęcia. Co widać, słyszać i czuć. I można by na tym skończyć, ale miło czasem pokopać leżącego...

Autorka urodziła się dość niedawno (bardzo dobry rocznik!) i do tego kobietą – dlaczego więc popełniła literackie harakiri i wykreowała opowieść (dzięki Bogu krótką) z narratorem męskim? Przecież nie predysponowało jej do tego ani doświadczenie życiowe, ani fizjologia. W czym miała swój początek ta historia, operująca archetypem rywalizacji trzech braci, i zaopatrzona w zadziwiający językoznawców tytuł „Zobacz, Marianna, co narobiłaś”? I bynajmniej w ocenie książki nie zasugerowałam się tym tytułem, w który zakradły się dwa błędy – gramatyczny i interpunkcyjny – mniejsza o takie szczegóły. Ale tzw. treść... jest po prostu nieudana, co można udowodnić bardzo racjonalnym argumentem: pani Ścigała popełniła mierny plagiat. Otóż wykorzystała w sposób naganny bajkę o Śnieżce i krasnoludkach! Fabuła wygląda mniej więcej tak: w zapadłym pod względem dostosowania do XXI wieku miasteczku (przeobrażony las) żyje sobie (w nieokreślonym teraz) dwóch braci, zafascynowanych, czy wręcz oplątanych, stałą obecnością, realną czy wymyśloną, pewnej młodej, (zapewne) pięknej i całkowicie bezwolnej kobiety, o której, poza owymi szczegółami oraz faktem, że została z mitycznego Skądś, dotychczasowego miejsca zamieszkania, wyrzucona – nie wiemy nic. I oni, tacy zwyczajni, wręcz przez ową zwyczajność nieatrakcyjni, prócz tego nieodłączni, po prostu istne baśniowe krasnoludki, przygarniają ją i dzięki temu roszczą też sobie prawa do autentycznego posiadania owej dziewczyny. Ich zredukowana liczba (do dwóch) doprawdy jest szczegółem, skoro Książę, ukochany mąż Śnieżki-Marianny, także wywodzi się z tej rodziny. Układ od początku jest chory, archetyp o nieprzemijającej aktualności jak zwykle ciekawy (byłby), ale tło obyczajowe, czyli tzw. świat przedstawiony, niestety, tylko lekko naszkicowany. Scenki z życia codziennego miasteczka i miejscowego kościoła nadają całości ciekawy posmak, ale je zaniedbano!

Narratorem opowieści jest najstarszy z braci, który stale konkuruje z młodszymi – oczywiście w kategorii „uczucia Marianny”, a poza tą jedną kwestią współżyją i mieszkują w doskonałej harmonii. Średni z braci, Grzegorz, zawsze wygrywa w żalonym sporcie „Marianna”, gdyż jest najsilniejszy, najbardziej aktywny i wszystko starszemu odbiera – od stojącego na stole obiadu, przez sympatię ludzką po, oczywiście, Mariannę. Niejaki Młodszy jest, jak sama nazwa wskazuje, najmłodszy i odgrywa w tym tercecie rolę świadka, obserwatora oraz (ewentualnie) komentatora. Jest najcichszy i najrozsądniejszy z braci. I oczywiście koło zamachowe wyżej wymienionej trójcy: mityczna, wszystkiemu winna, Marianna – ewidentna mieszanka psychoanalitycznych typów tzw. Wiecznej Dziewczyny oraz Bluszczu. Jest niezmienna, nienaturalnie niedorośła, zależna we wszystkim od wpatrzonych w nią „krasnoludków”. Marianna ma szare warkocze i oczy sennie. Czytelnik też jest senny. Marianna nie mówi nic. Jest dmuchaną lalą dla Grzegorza, ikoną dla narratora, obiektem obserwacji dla Młodszego. Tytuł powieści daje ciekawą wskazówkę interpretacyjną tego męsko-damskiego związku: mimo całkowitej bierności dziewczyny to ona „wszystko narobiła” – a rzeczywiście od pierwszej do ostatniej kartki jest istotą bezwolną i totalnie wypraną z emocji. W końcu w ogóle przestaje mówić (z prawdziwą przyjemnością zdradzę *clue* powieści!), gdyż za sprawą pewnego tajemniczego pożaru łąduje w stanie śpiączki i staje się autentyczną Śnieżką wśród oplatających ją krasnoludków.

Ścigała dysponuje tzw. „możliwościami” pisarskimi, więc dlaczegóż, na Jowisza, nie sprowadziła swojej książki – niby o Prowincji – do historii bardziej socjologicznej z większą ilością wątków, dialogów i Czegoś rejestrującego rzeczywistość. Bo ten monotematyczny, jęklivy, wręcz dziecinny monolog w ustach dorosłego mężczyzny... Miało być śmiesznie, tragikomicznie i po Witkacowsku. Nie jest.

Autorka ponadto umieściła na okładce swojej powieści notkę wprowadzającą – poraziło mnie już jej pierwsze zdanie: „*Marianna* jest o mnie. O tym, jak strasznie nienawidzę Tego Wszystkiego. O świecie takim, jaki masz za oknem. Bezrobocie, zawistne sąsiadki pod drzwiami, tyle zmartwień – nie można spać. I marzenia cię zabijają, dzień po dniu, a rzeczywistość swoją drogą”. To ostatni gwóźdź do trumny, w której legła



powiastka o Mariannie: próba odwołania się do wspólnoty doznań odbiorcy oraz motyw *american dream* brutalnie stłamszonego przez (zapewne) postpegeerowską rzeczywistość to bardzo ograne chwytły marketingowe, a wymienione problemy... no cóż, niejednen z czytelników dobrze owe kwestie rozumie, ale książek o tym nie zamierza pisać. Domyślam się za to, że będzie wielu, którzy autorytarnie (i słusznie, o gustach się nie dyskutuje) stwierdzą, że jest to „proza gniewna, świeża, odkrywczą i bardzo autentyczna w wyrazie”. Zazwyczaj tak się mówi. Ja natomiast mam prawo powiedzieć, że z przelewanej na papier nienawiści do świata jedynie w rzadkich i genialnych wypadkach wychodzi dobra literatura.

Czas na podsumowanie oraz odpowiedź w zasadniczej kwestii: dlaczego się tak bardzo nad nieszczęsną „Marianną...” znęcałam? Bo tyle papieru na to poszło!

*Aleksandra Ścigala,  
Zobacz, Marianna, co narobiłaś,  
Wyd. Prószyński i S-ka,  
Warszawa 2008.*

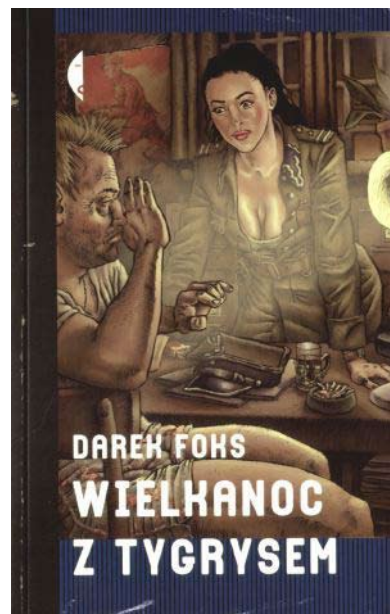
## Arszenik i pudełko czekoladek

Rząd wreszcie zrozumiał potrzebę uzdrowienia branży filmowej i wybudował miasteczko filmowe, które śmiało można obwołać małym Hollywood. Terapia to powierzchowna i daremna, bowiem ciało od środka zabija wirus kolejnych ekranizacji lektur szkolnych i tasiemcowych seriali. Gwiazda jednego z tych seriali ma zostać odtwórczynią roli Izabeli w ekranizacji „Lalki”. Monika Rapacka nie doczeka jednak pierwszego klapsa, umiera w tajemniczych okolicznościach. Kandydatów do roli mordercy jest wielu, a zwycięzcę castingu wybierze detektyw Reiner.

Darek Foks zafundował nam kryminał na polską modłę z zachodnimi elementami. Wszystko zaczyna się niewinnie w atmosferze spokojnego życia gwiazdek polskiego filmu. Bergmanowo, bardziej przypomina jakieś małe prowincjonalne miasteczko, w którym wszyscy znają wszystkich, a życie płynie powoli, niż pełne skandali i przepychu Hollywood. Mimo to od początku wyraźnie można wyczuć atmosferę gęstniejącą z każdą kolejną stroną. Zanim Monika Rapacka schodzi z tego świata pojawia się solidna dawka poszlak i potencjalnych morderców, ale wariant wyjściowy wskazuje na samobójstwo. Wkroczenie na scenę nieustępliwego detektywa Reinerja dostarcza kolejnych wątków w śledztwie. Reiner stopniowo porządkuje chaos, by ułożyć go w jakże logiczną i zaskakującą całość. To właśnie ta logiczność jest największym atutem powieści Foksa. Po przeczytaniu ostatniej strony czytelnik drapie się w głowę i zastanawia, dlaczego na to nie wpadł, a to chyba najważniejsza cecha dobrego kryminału, w którym na każdym kroku próbujemy zdemaskować mordercę. Autor umiejętnie podsuwa nam kolejnych podejrzanych i wskazuje dość logiczne motywy.

Książka Foksa podszyta jest sporą dawką drwiny i nie dotyczy ona tylko przemysłu filmowego, który autor zna dość dobrze z racji kilku scenariuszy, które kiedyś popełnił. Mamy okazję uronić łezkę nad ojcem jednej z postaci, który popełnił samobójstwo po zdjęciu z anteny serialu „Na dobre i na złe”, co dziś wydaje się czystym surrealizmem, bo kto mógłby przypuszczać, że coś takiego kiedykolwiek nastąpi? Cała powieść to w pewnym sensie drwina z kryminału. Niby wszystko jest na poważnie, niby leje się krew, ale ma się wrażenie, że za moment Monika cudownie ożyje tak jak bohaterka, którą odtwarza w telenoweli i powie: „Ale was nabrałam”.

Trudno jest jednoznacznie stwierdzić, czy drwina z kryminału jest celowym zamysłem autora, czy wynika z jego niedbałości i bylejakości warsztatowej. Śmiało można się przyczepić do opisów sytuacji i postaci, które są niezwykle powierzchowne. Postać głównego bohatera - Reinerja jest płaska aż do bólu. Gdy wkracza na scenę nie wiemy o nim nic i to się nie zmienia aż do rozwikłania zagadki śmierci Moniki. Nie dowiadujemy się nic na temat jego charakteru (prócz oczywiście jego niezwykłych umiejętności rozwiązywania kryminalnych zagadek), jego życia prywatnego, nawet przyzwyczajień. Jakoś zabrakło mi w tym całym polskim Colombo jakiegoś detaliku, który dodałby mu choć trochę życia, jakiegoś cygara w ustach, albo gryzionej wykałaczki. Podobnie jest z opisami sytuacji. Niby akcja zasuwa jak szalona, niby ciągle dowiadujemy się czegoś nowego, co wywraca całe śledztwo do góry nogami, a gdy bohaterowie znajdują zwłoki to ciężko o jakąkolwiek reakcję. Jeden jedyny profesor Pręcena, który boryka się z uzależnieniem od alkoholu wydaje się ludzki i pełen emocji. Poza tym mamy do czynienia z czystą statystyką - ktoś umiera, bo musi, przecież to kryminał. Ktoś prowadzi śledztwo,



ktoś jest podejrzany, a ktoś zupełnie nie wzbudza podejrzeń. A chęć zajrzenia na ostatnią stronę i przeczytania zakończenia słabnie wraz z kolejnymi wydarzeniami. I choć do końca nie wiadomo, kto zabił i dlaczego to zrobił to ulga, która towarzyszy poznaniu całej prawdy wynika bardziej z faktu, że w końcu mamy to za sobą niż z ciekawości rozwiązania.

„Wielkanoc z tygrysem” to kryminał dobry, choć nie bardzo dobry. Widać wyraźnie, że Foks chciał, by jego książka nie powtórzyła tendencji, jaką od kilku lat obserwujemy w polskim filmie. Niestety przedobrzył i zamiast przerostu formy nad treścią, mamy do czynienia z procesem zupełnie odwrotnym, a szkoda, bo sama fabuła wnosi ożywczy powiew w nieco skostniałe ramy gatunku. Można śmiało powiedzieć, że autor wziął z kryminału to, co najlepsze i zaadaptował do polskiej rzeczywistości. Mam tylko nadzieję, że ekranizacja powieści będzie nas trzymać w napięciu od początku do końca.

*Darek Foks,  
Wielkanoc z tygrysem,  
Wyd. Czarne,  
Wołowiec 2008.*

# Kobieta afgańska

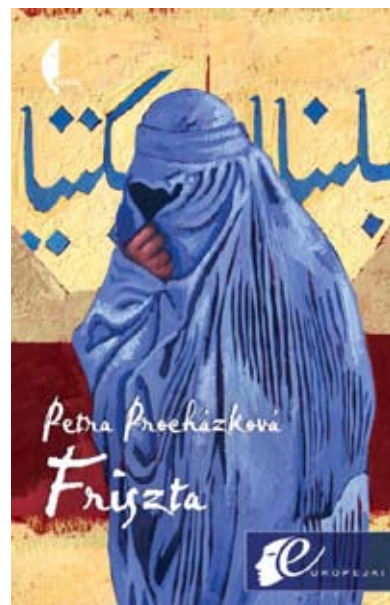
Afganistan to jedno z najbardziej nieprzyjaznych, niebezpiecznych oraz najmniej tolerancyjnych miejsc na ziemi. Czyż nie taki właśnie obraz tego kraju pojawia się na ekranach telewizorów? W przekazach raczej nie pojawiają się wieści dotyczące życia, kultury oraz tradycji. Rzadko kiedy wiadomości nadawane w zachodnich kanałach są konstruowane w taki sposób, aby przynajmniej tłem dla ważnych wydarzeń politycznych była zwykła egzystencja mieszkańców. Zupełnie odwrotnie rzecz ma się w książce czeskiej korespondentki wojennej Petry Procházkovej pt. „Friszta” gdzie autorka ukazała całą skomplikowaną strukturę zależności tradycji i kultury afgańskiej, osadzając w głównej roli pewną, może nie całkiem typową, rodzinę afgańską.

Procházková, wydaje się, celowo umieściła w kluczowym dla tej książki miejscu postać spoza kręgu kultury afgańskiej. Główną bohaterką bowiem, której oczami obserwujemy oraz oceniamy afgańską rzeczywistość, jest Herra, pochodząca z Rosji żona Nazira – członka afgańskiej rodziny. Nie jest ona bynajmniej zwykłą przewodniczką po egzotycznym świecie obyczajów i zachowań. Wplątanie jej w ten system przyniosło dość ciekawą kompozycję, w której ona sama staje przed niezrozumiałym, a czasem krzywdzącym, pełnym niepojętych zachowań życiem. Snuje ją osoba, która nie wychowała się w tym kręgu kulturo-

wym, ale która zaakceptowała przynależne do niego zwyczaje i nie bezkrytycznie poddała się im. Ta specyfika narracji często wydaje się nieoceniona, szczególnie, kiedy zastana rzeczywistość jest przez bohaterkę dosadnie komentowana: „Aha, czyli Afgańczycy sikają na siedząco! Niesamowite odkrycie uspokoiło mnie – mój mąż nie jest zboczony, wszyscy tak robią”. Nie można nie zauważyć, że osadzenie w roli narratorki kobiety, dla której punktem odniesienia dla obcej rzeczywistości, jest dzieciństwo i młodość spędzona w Moskwie jest celowe. W ten sposób łatwiej jest jej zaskakiwać czy nawet przerażać opisami różnic kulturowych, wnikać w zakamarki obyczajowości muzułmańskiej oraz, co okazuje się najważniejsze, czynić z nich obiekt rozważań. Herra okazuje się zatem łączniczką, której zadaniem jest ułatwienie kontaktu czytelnika z trudnym do zaakceptowania oraz czasem niepojętym światem obyczajów afgańskich. Z jednej strony przeniknęła ona już na tyle do tejże kultury, aby bez problemu się w niej poruszać, ale z drugiej nadal patrzy na nią okiem „obcej” kobiety zachodu.

Autorka z premedytacją porusza w książce problem traktowania kobiet w muzułmańskiej kulturze, która opiera się na patriarchalnym modelu społeczeństwa. Bardzo często można odnieść wrażenie, że to właśnie jest głównym przedmiotem opowieści. Z całą pewnością Procházková zawarła w niej krytykę takiego stanu rzeczy. Jednak należy zauważyć, że jest to krytyka ostrożna i wyważona, poparta przemyśleniami. I tak, pozycja kobiet jest niska, są one uprzedmiotowione. Choć należy zauważyć, że mężczyźni bijący żony uważani są przez rodzinę bohaterki za prymitywów, którzy w związku z tym nigdy nie zajmą wysokiej pozycji w hierarchii rodzinnej. Te przypadki, choć częste, by nie rzec nagminne, pojawiły się oraz przybrały na sile dopiero za czasów władzy Talibów. Doskonale ten kontrast widoczny jest w rodzinie, do której dołączyła Herra. Podczas gdy młodzi mężczyźni, wychowani właśnie w czasach panowania ekstremistów muzułmańskich, odnoszą się do kobiet bez mała z pogardą, to ich ojciec traktuje swoją żonę z szacunkiem. Pisarka nie ocenia. Prowadzi raczej obszerne studium problemu, przed którym stoi współczesny Afganistan. Wskazuje na racje obu płci, nie zapominając o uwarunkowaniach kulturowych i historycznych, przytaczając niejednokrotnie w tej dyskusji wersy Koranu, które wbrew obiegowym opiniom, nakazują mężczyznom szanować kobiety i dbać o nie.

„Friszta” to powieść wieloaspektowa. Dotyczy to także postaci, które stworzyła autorka. Mamy tu przecież Herre, której osobowość pozostaje nieodgadniona aż do ostatnich stron. Pojawia się Mad – chłopiec, który ze względu na niedorozwój fizyczny został porzucony przez swoją rodzinę, a który ze względu na inteligencję i bystrość, bez trudu odnalazł się w domu Herry i Nazira, stając się nieocenionym przyjacielem bohaterki. No i wreszcie Nazir. Ta postać wydaje się interesująca z kilku względów, ale najważniejszym jest chyba to, że zbudował on swój światopogląd opierając się częściowo na doświadczeniach z pobytu w Moskwie, a także uległ pod tym względem wpływom swojej żony. Pozostał jednak Afgańczykiem, a jego poglądy dotyczące pozycji



kobiet nie różnią się zbytnio od innych Afgańczyków.

Kiedy kilka lat temu na ulicy jednego z muzułmańskich miast zobaczyłem kobietę w burce, okrytą dokładnie i szczelnie, pomimo dość wysokiej temperatury, zastanawiałem się, czy Koran rzeczywiście nakazuje, aż tak daleko idącą wstrzemięźliwość? Drugie pytanie, jakie pojawiło się w mojej głowie, brzmiało: Jak czuje się kobieta, która nosi taki strój? Na oba te pytania odpowiedź znajduje się w tej książce. Odpowiedź, być może trudna i daleka od akceptacji, ale rzetelna i prawdziwa. Powieść napisana przez Petrę Procházkową mogłaby nosić tytuł: „Zrozumieć Afganistan”, ponieważ taka, zdaje się, była intencja autorki. Za pomocą kilku skrupulatnie zaprezentowanych postaci, stworzyła ona realny obraz całego społeczeństwa afgańskiego, eksponując w nim jego pozytywne aspekty, nie pomijając jednak tych negatywnych, szkodliwych i krzywdzących.

*Petra Prochazkova,  
Friszta,  
przeł. Jan Stachowski,  
Wyd. Czarne,  
Wołowiec 2008.*

## Gdzieś pomiędzy „było” a „jest”

Nadchodzi moment, gdy potrafimy spojrzeć na to, co było, na przeszłość - dzieciństwo, z pewnym dystansem. Jednak pamiętajmy też, że wspomnienia pamięci bywają wybiórcze i przekształcone przez zbiór nowych doświadczeń. Tak dzieje się również w najnowszym tomiku Wioletty Grzegorzewskiej. Wiersze w „Orinoko” są dalece inne od tych z „Paranteli”, po których autorka została pochwalona, jednak często uznawana za dobrą w kategorii „jak na autorkę rocznik 1974”. Po lekturze tomiku „Tyskiej Zimy Poetyckiej” odczuwalna jest zmiana w jej sposobie postrzegania świata i dojrzałość.

Wynika to zapewne z upływu czasu oraz fizycznej odległości od miejsc, osób... Wyjaskrawione zostają niektóre elementy rzeczywistości, inne zacierają się, tracąc na znaczeniu wobec teraźniejszości i nowego sensu opowieści z lat minionych. Pełnych wrażeń, doświadczeń, przeżytych w miejscu losowym, danym i nie do końca przyjętym ze spokojem i pokorą.

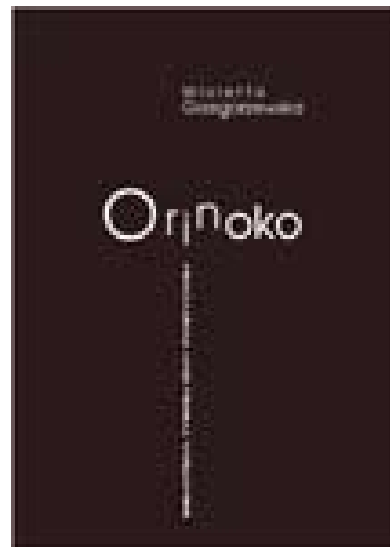
Wraz z lekturą twórczości poetki, nazywającej siebie Violą Greg, poznajemy pełen mityzacji i przewrotności screenshot przeszłości. Jej poezja przypomina obrazki, urywki widzianych za oknem zdarzeń, fragmenty rzeczywistości znane tylko bardzo wtajemniczonym obserwatorowi. Zapamiętane, przekształcone na nowy, często gorzki sposób. Biegłe operuje słowem, próbuje zaskakiwać i szokować. A może tylko w bardziej obiektywny i sugestywny sposób przekazać swoje obserwacje. W tym ukazaniu przeszłości, migawek wspomnień, inspiracji z lat młodszych, kryje się coś głęboko zastanawiającego i poruszającego.

Ciekawe wydaje się zaznaczenie kilku głównych wątków wciąż powracających i być może zmieniających nasze postrzeganie małych spraw, stale obecnych, a często przez nas nie analizowanych. Nie zatrzymujemy się przecież przy każdym betonowym podwórku, pielgrzymce, stacji. A w tej poezji znajduję coś innego. Wrażliwość i chęć rozważenia każdego elementu widzialnego, zapamiętanego świata. Co więcej - przemyślaną, choć nie zawsze wprost wyjawioną, ocenę i prawdę. Poprzez ironię i brak zgody na bieg zdarzeń odsłania swój wciąż żywy bunt przeciwko temu, co zwykle jest przyjmowane i przemilczane. Jednak po refleksji wywołanej lekturą nie sposób uniknąć pytań o sens tego buntu i jego charakter. Nie można też pominąć motywu śmierci, przemycanego często i w różnoraki sposób. Wszechobecne jest wspomnianie przeszłości - przemijanie, które być może wprowadza tematykę na logiczną drogę - łącząc przeszłość z teraźniejszością, a w końcu z tym, co nieuniknione, czyli końcem życia. Zdarzenia wspomniane i zapamiętane są przeważnie cierpkie, nastrojają niezbyt optymistycznie, chociaż może też skłaniają do tego, aby mimo wszystko próbować pojąć świat wokół i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Może ponieść konsekwencje - wyjechać gdzieś daleko, podsumować i rozliczyć się z tym, co minione?

W jednym ze zdań, spośród tych licznych głęboko zapadających w pamięci, padło: „nie potrafię się rozstać tylko z nokią”. Jest to wyraz prawdziwego przesłania tych utworów. Tęsknoty za tym, co ważne. I jednoczesnej wiedzy, albo przynajmniej przekonania, że nie do końca jesteśmy w stanie wpływać na to, co dzieje się z naszym życiem. Osoby, zjawiska zapamiętane są pokazane często przez pryzmat, żalu, braku zgody na proste przyjęcie tego, co dane. Czymże są ucieczki z klasztornej stacji?

Ciekawe i bardzo trafne jest lekkie, przewrotne potraktowanie zdarzeń, o których być może nie chce się pamiętać, a ciężko zapomnieć. Poprzez mimowolne wspomnianie o rzeczach przykrych lub krępujących lepiej dociera sens ich przesłania. Oczywiście stają się niedostrzegane czasem niuanse, które pozornie nieistotne, a w rzeczywistości dodające ostatecznego kształtu przeszłości, życiu.

Każdy wiersz, jakby osobny, niezależny od innych, wspomnienie nadaje kształtu całości, pomaga w określeniu przyczyn dalszego określonego sposobu pojmowania. Ciekawe jest pokazanie każdego zapamiętanego miejsca, zdarzenia zarówno z dystansu, a zarazem bardzo precyzyjnie i konkretnie. Widzimy często wyrwane z kontekstu, bardziej wyraziste sceny opisywane z perspektywy osób w różnym wieku, uczestników - obserwatorów przekazujących kawałki wspomnień wraz z przemyśloną ich interpretacją. Stale obecna dyskusja i relacja zarazem. „Jeszcze przez chwilę zaciśnięte powietrze” - taniec życia i śmierci. Głęboko przesiąkniętej religijnością rzeczywistości i ucieczki od niej. Wiele stacji, miejsc powiązanych wspomnieniami, tajemnicami i wpływających na dorastanie. Moc przeżyć, bardzo bogate doświadczenie bohaterki i smutna, przenikająca wszystko nauka, że



przeszłość kształtuje teraźniejszość. Niektóre prawdy, do wyjawienia, potrzebują dystansu.

Sposób prezentacji wspomnień zmusza do przemyśleń, odczuwania. Może nawet do bardziej intuicyjnego, niż rozumowego przyjęcia świata. W jednym z bardziej osobistych utworów: „Więcej krawędzi mniej słów”. Podkreślają te słowa zawieszenie gdzieś pomiędzy zgiełkiem, mnogością wspomnień, a jednoczesną świadomością przemijalności i bliskością śmierci. Najważniejsze w tomiku staje się to, że zastanawia, zmusza do zatrzymania się i spojrzenia za siebie. Sprawia, że chcemy dostrzec gdzieś głębiej, poza tym, co powierzchowne i obecne. „Orinoko” to bardzo interesujący sposób patrzenia na wszystko wokół, uchwycenie przelotnych, niezauważalnych czasem chwil i zdarzeń. I dowód, że z rzeczy minionych możemy czerpać inspirację, naukę i wzbogacać obecny sposób postrzegania. Największa zaleta tomiku, dla której warto poświęcić mu odrobinę lub trochę więcej uwagi? Nauka obserwacji i dostrzeganie tego, co nie zawsze znajduje się na pierwszym planie.

Wioletta Grzegorzewska,  
Orinoko,  
Wyd. Teatr Mały,  
Tychy 2008.

# teatr

Zdjęcia publikujemy dzięki uprzejmości Teatru im. S. Jaracza w Olsztynie

Miguel de Cervantes, Don Kichote, przekład: Anna Ludwika Czerny, Zygmunt Czerny, adaptacja: Marek Fiedor, reżyseria: Paweł Szumiec, scenografia: Marek Braun, kostiumy: Jolanta Łagowska, muzyka: Aleksander Brzeziński, występują: Artur Steranko, Wiesława Niemiaszek, Ewa Pałuska, Jarosław Borodziuk, Marian Czrakowski, Cezary Ilczyna, Stanisław Krauze, Marcin Kiszluk, Mariusz Korpoliński, Marek Szkoda. Premiera w Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie 27 września 2008 roku.

# Raz, dwa, trzy, Don Kichotem będziesz ty...

„Jeśli teatr nie promienieje czymś tajemniczym, zwariowanym, prowokującym albo obłąkanym, albo też czymś wspaniałym, wtedy jest martwy...”

Trudno jest pisać negatywnie o Teatrze Jaracza w Olsztynie, a to z kilku powodów: bo przecież na deskach tego teatru widziało się jeszcze jako dziecko kilka sztuk Shakespeare’a, będących jednym z pierwszych impulsów kształtujących estetyczne pojmowanie sztuki i w związku z tym nie wypada dolewać oliwy do ognia, choć powszechnie wiadomo, że zupełne milczenie krytyki może być dopiero prawdziwym zabójstwem dla przedstawienia; bo jak uświadomić widzom, że istnieją teatry o wiele lepsze zarówno kunsztem gry aktorskiej jak i repertuarem, skoro ich teatr służy im za uświęcone miejsce rozrywki wysokiej i nigdy nie widzieli niczego innego poza produkcjami rodzimymi i w związku z tym nie mają możliwości porównania?; i wreszcie, bo doświadczenie podpowiada, że im aktor bardziej prowincjonalny i im bardziej trzymający w ręku monopol w mieście pozbawionym konkurencji na polu sztuki teatralnej, tym bardziej jest wrażliwy na krytykę negatywną; on ma tu swoją stałą widownię, więc nie musi się starać, pozostanie poprawny w swojej pracy, ale nie genialny i nie porywający...

Szkoda, że olsztyński Teatr im. Stefana Jaracza jest teatrem prowincji. Zdarzają mu się produkcje zachwycające, ale są one w przeważającej części krótkotrwałe i rzadkie. Gdzie podziła się plejada autorów klasycznych? Dlaczego pozwala się artystom „klepać” teksty twórców drugorzędnych, tudzież brać udział w produkcjach chybionych, które raczej rujną ich resztki talentu i warsztatu, zamiast go rozwijać?

Jak długo jeszcze będzie pobrzmiwał ten sam monotony tembr, ten sam rytm, te same gesty i tricki?

Ostatnią sztuką, jaką widziałem na deskach olsztyńskiego teatru była inscenizacja „Don Kichote” w reżyserii Pawła Szumca. Nie uczestniczyłem w przedstawieniu premierowym, a w pokazie towarzyszącym tegorocznemu spotkaniu ludzi kultury i było ono ukoronowaniem Inauguracji Roku Kulturalnego 2008/2009.

Paweł Szumc spróbował przenieść na deski teatru jedno z największych dzieł literatury światowej. Jak wiadomo, Miguel Cervantes stworzył genialnie prześmiewczą powieść, parodię wielkich eposów rycerskich – stylu ich pisania, poetyki, fabuły. To, co dobrze funkcjonuje jako parodia literacka na kartach książki, nie zawsze odnosi podobny sukces jako adaptacja teatralna.

Szumiec powyberał fragmenty z nieszczęśliwego życia Don Kichota i złożył z nich spektakl. Podobnie jak żarty czynione z głównego bohatera przez jego współmieszkańców, a więc proboszcza, balwierza i bakalarza, Szumiec żartuje z Cervantesa. Wersja reżyserska jest w stosunku do wydanego w styczniu 1605 roku w Madrycie oryginału powieści drastycznie okrojona, strzępki poszczególnych epizodów mieszają się ze sobą. Licentia poetica dopuszcza tego typu działania, tyle że powstały w ten sposób nowotwór nie powinien już być firmowany nazwiskiem Kastylijczyka.

Widzimy czynny „przemysłnego szlachcica z Manczy” niejako w retrospektywie, na krótko przed jego



śmiercią. Kilka zapamiętanych zdarzeń przetacza się przez umysł Błędnego Rycerza. Tak więc towarzyszy Don Kichotowi wierny Sancho Pansa, Rycerz Zwierciadeł (zdaje się, że w oryginale figurujący jako Rycerz Błedego Miesiąca), napotkana trupa aktorska i wiele innych dziwnych, w większości nierzeczywistych postaci. To, co widać na scenie to swoiste *déjà vu*, rozgrywające się w izbie konającego Don Kichota. Rojenia, zjawy, zwidy, obrazy wspomnień rzeczywistych przemieszanych z wymagowanymi są projekcją jego chorego i zmęczonego umysłu. Dawno już bowiem stracił kontakt z otaczającym go światem. W głębi swej jaźni stworzył sobie za to inny, w jego rozumieniu piękniejszy. Ale konfrontacja tych dwóch światów zawiodła go na skraj szaleństwa.

Powieść Cervantesa interpretowano różnie. Wyrażać ona miała głęboką afirmację najwyższych wartości człowieczych, krytycznego rozumu, ludzkiej uczciwości i prostoty, sprawiedliwości i wielkoduszności. Podkreślano znaczenie wolności jako najwyższej, jedynej ceny życia. Wolność miała być potępieniem wszelkiego ucisku i przymusu. Wydaje się, że na scenie Jaracza to także wolność wyboru i wolność niczym nieskrępowanych myśli i tęsknot są głównym przesłaniem sztuki. Zabicie człowieka to unicestwienie jego marzeń, tego, co kocha miłością czystą i szlachetną. Tę cenę zmuszony jest zapłacić także Don Kichot. Na łożu śmierci odrzuca swój sławetny przydomek, nazywa siebie Alonzo Quijano, „któremu postępowanie zyskało kiedyś przydomek Dobrego”.

Lecz obojętnie jak tragiczna nie byłaby śmierć Don Kichota, to ma ona jednak i aspekt pozytywny. Odziana w czarne szaty, śmierci podobna (zapewne kolejne z możliwych wcieleń Dulcinei z Toboso) postać kobieca uwalnia go od ziemskich cierpień. Bo lepiej jest chyba umrzeć, niż oddać swoje ideały na pohańbienie motłochowi.

Minęły może dwie trzecie przedstawienia, ja napisałem do przyjaciółki, z którą byłem umówiony po przedstawieniu, krótką wiadomość tekstową: „Jestem jeszcze na spektaklu, ale chcę już wyjść, bom wymęczony dość mocno..., choć właśnie robi się niezła paranoja wokół Don Kichota, więc zostaję!” Zostałem. A ujęły mnie właśnie te paranooidalne sceny, znakomicie oddane przez aktorów. Przypomniała mi się filmowa adaptacja „Titusa Andronicusa” w reżyserii Julie Taymor, w poetyce pop-artu, zupełnie zwariowana, niczym nieskrępowana. O to właśnie chodzi, żeby dzieła stare przypominać, czasem w bardzo niestandardowy i niekonwencjonalny sposób.

To wariactwo na krótko przed końcem sztuki uratowało przedstawienie Szumca przed martwością

## Szaleństwo nie tylko teatralne

Nową inscenizację w teatrze olsztyńskim, jaką jest „Don Kichote” na podstawie adaptacji tekstu Miguela de Cervantesa można uznać za udaną próbę reżyserską uwspółcześnienia czegoś tak klasycznego. Paweł Szumiec spróbował ukazać z pomocą postaci Don Kichota Cervantesa problem szaleństwa w rozlicznych jego wymiarach. Od wymiaru wręcz historyzoficznego aż do wymiaru psychoanalitycznego. Ten pierwszy jest kreowany dzięki strojom z epoki baroku a także dzięki tak modnej zabawie w życie pasterskie prostego ludu chłopskiego, za który w tej epoce przebierała się arystokracja francuska. W przedstawieniu temu szaleństwu podlega otoczenie Rycerza Smętnego Oblicza, granego przez Artura Steranko. Rola rzeczywiście dobrana wyśmienicie do tego aktora, który na scenie zawsze sprawia wrażenie osoby z innego wymiaru rzeczywistości. Te kostiumowe odniesienia do epoki baroku od razu metaforyzują przypadkową anegdotę historyczną postaci don Kichota. Widz jest zmuszony do zgeneralizowania znaczenia szaleństwa tej osoby, poprzez przeniesienie go do wymiaru zbiorowego różnych czasów. Konkluzją tego procesu myślowego jest stwierdzenie, że każda epoka ma swoje szaleństwo. Średniowiecznym szaleństwem była idea błędnego rycerza a np. w epoce baroku wizja sielanki życia pasterskiego w Arkadii. Można powiedzieć, że to szaleństwo, później inspirowało bardzo wielu filozofów Oświecenia. Idea powrotu do natury uznawana była jako coś zasadniczo dobre. Reżyser w sposób świadomy ukazał kontrast pomiędzy szaleństwem otoczenia Don Kichota popadającego w jedno z szaleństw nowej epoki, jakim było naśladowanie życia prostych pasterzy żyjących w Arkadii a archaicznym szaleństwem średniowiecznym, na które już nikt się nie nabierał. Dla wszystkich oprócz Don Kichota była widoczna czysta retoryka ideału rycerza. Retorykę tę w pełni ukazał reżyser w scenie spotkania trupy teatralnej z naszym idolem, który potraktował na serio przedstawianą przez aktorów scenę. Teatralna zabawa przekształciła się dla Don Kichota i jego giermka w realną rzeczywistość, jaką było obicie ich kijami przez aktorów.

Świetna jest scena apoteozy osoby Don Kichota przez osobników przebranych w stroje z epoki baroku. W nich to rozpoznajemy aktorów z trupy teatralnej, którzy wcześniej poturbowali szlachetnego rycerza. Teraz odgrywają otoczenie adorujące osobę Don Kichota. Cała ta scena skojarzyła się mojej wyobraźni i pamięci z obrazem szaleństwa władzy absolutnej w epoce Oświecenia, czego wymownym przykładem jest Le Roi Soleil i jego Wersal. Czyż każdy władca absolutny nie był błędnym rycerzem utrzymywanym w swym szaleństwie przez otoczenie grające określone role w dworskim przedstawieniu wystawianym przez arystokrację? W oparciu o to skojarzenie intelektualno-emocjonalne można wyciągnąć wiele wniosków



na temat roli szaleństwa w tworzeniu idei władzy. Wracając do sceny spotkania trupy aktorskiej z osobą Don Kichota trzeba zwrócić uwagę na grę Borodziuka wcielającego się w osobę wędrownego aktora. Widać było w tej grze nieprawdopodobny talent komediowy tego aktora. Jestem ciekawy, czy doczekam się kiedyś przedstawienia, w której główną rolę zagra ten niewykorzystany w pełni aktor naszego teatru?

Oprócz wymiaru społecznego szaleństwa, reżyser spróbował również pokazać jego wymiar psychologiczny, wręcz psychoanalityczny związany z miłosnymi katuszami, jakim podlegał nasz biedny rycerz, a których uźwężeniem jest np. miłość do boskiej Dulcynei. Tutaj reżyser wykorzystał stylistykę współczesnej erotyki nawiedzających głównego bohatera wśród sennych widziadeł. Być może dla niego było to ostateczne źródło każdego szaleństwa psychologicznego. O tym może świadczyć fakt, że szaleństwo zostało spersonalizowane przez erotyczną kobietę, która pod koniec przedstawienia opuszcza Don Kichota. I co się dzieje dalej? Po prostu rycerz umiera. Wniosek może być tylko jeden. Bez szaleństwa własnego lub cudzego człowiek istnieć nie może. Potwierdzenia dla tych słów dostarcza cała ludzka kultura. Jeżeli nie jesteśmy sami szaleni to musimy przynajmniej szaleństwo udawać ze względu na obłąd innych. I tutaj mamy do czynienia z wymiarem moralnym obłąd. W końcu, na scenie widzimy również szaleństwo, które jest udawane w imię dobra osoby bliskiej.

Jak widać Paweł Szumiec ustrzegł się przed przedstawieniem, które zatrzymałoby się jedynie na poziomie anegdotyczno-antykwarecznego ukazania osoby Don Kichota i jego otoczenia. Poprzez ich metaforyzację ukazał rzeczywisty podmiot historii człowieka, jakim jest jego szaleństwo. Może jedynie dzięki niemu mamy to, co wszyscy nazywają kulturą.

proza

## BOSCH 3231

- Co jest?

- Co jest? Co jest? Mam dość, Igor. Dość tej schematyczności. Kładę się do łóżka, ty łapiesz mnie za cycki, ja cię łapię za tyłek, a potem się pieprzymy. Nie chcę tak, rozumiesz!? Chcę raz inaczej. Traktujesz mnie jak tabletkę na sen. Rżnięcie i lulu. Chce jakiejś odmiany! Od-mia-ny!

Igor patrzył ze smutkiem na rowek między jej piersiami i guziczek, który do połowy wydostał się już z dziurki. Powoli docierała do niego pewność, że dzisiaj już nic z tego nie będzie.

- Słuchasz, co do ciebie mówię?

- Tak.

- No i? Masz to gdzieś, prawda? Świetnie. To przyjmij do wiadomości, że od dzisiaj, bawisz się sam, skoro rutyna tak ci się podoba. Ja nie chcę, żeby moje życie seksualne wyglądało jak codzienna jazda do pracy, gdzie znam każdy metr trasy. Zrozumiałeś? Dobranoc!

Igor westchnął i poprawił spodnie od piżamy. Rozwścieczona Magda była jeszcze bardziej podniecająca. Może faktycznie ma trochę racji, pomyślał.

- Aha i jeszcze jedno - Magda zapaliła światło. - Jeśli nie wiesz, jak się za to zabrać, to spytaj kolegów, poczytaj w książkach, zapisz się na terapię... Nie obchodzi mnie to. Chcę, żebyś mnie czymś zaskoczył. Tym razem będę konsekwentna.

Światło znowu zgasło. Igor stracił nie tylko resztki nadziei, ale też kołdrę. Magda owinęła się w nią jak w rulon. Wstał i poczłapał do łazienki.

- Może nie idź tak demonstracyjnie trzepać konia sekundę po zgaszeniu światła, co? - krzyknęła za nim Magda.

Igor po raz kolejny westchnął i zawrócił. Nie wrócił jednak do łóżka, tylko usiadł na sofie w salonie i włączył telewizor.

- Ciszej! Chcę spać! - wrzasnęła Magda.

Pieprznął pilotem z całych sił, ale o kanapę, więc ten tylko odbił się kilka razy i upadł spokojnie na poduszkę. Igor usiadł obok niego. Zapalił papierosa i machinalnie sięgnął do koszyka z gazetami. Przegrzebał stos Wyborczych i wyjął jeden z czterostronowych dwutygodników Magdy: *JAK UNIKNAĆ NUDY W SYPIALNI*. Pod wywalonym wielkimi literami tytułem półnagi osiłek, od którego na dwa metry waliło gejem, karmił truskawkami i poił szampanem bezpiersną brunetkę z oczami zasłoniętymi aksamitną przepaską.

- Uważaj, nie polej obrusa – powiedział Igor do gejuatego osiłka przedrzeźniając głos Magdy.

Jednak po trzecim zaciągnięciu się papierosem postanowił dać im szansę. Zaczął przeglądać *JAK UNIKNAĆ NUDY W SYPIALNI* czyli *10 sprawdzonych sposobów na seks Twoich marzeń*.

*Zacznijcie od romantycznej kolacji. Nic tak nie pobudza zmysłów jak odpowiednio dobrane jedzenie. Matka natura dała nam całe mnóstwo naturalnych, zdrowych i smacznych afrodyzjaków. Wystarczy, aby skomponować z nich niejedną miłosną ucztę –* Nie dziękuję, szkoda czasu. Nie będę stał nad garami trzy godziny.

*Wybierzcie się na romantyczny piknik. Wspólna podróż samochodem, kilkugodzinna wyprawa w góry, nocny spacer po plaży zbliżą was do siebie. Kiedy zmęczeni, ale zrelaksowani położycie się wieczorem ramię w ramię, nie będziecie mogli powstrzymać się od pieszczot.* – Piknik w listopadzie? Odpada. Zresztą w sobotę muszę na chwilę zajrzeć do pracy.

*Zróbcie sobie dzień wolny. Jesteście przemęczeni, zabiegani, zapracowani. To nie sprzyja intymności i długim pieszczotom. Dlatego weźcie wolne od wszystkich obowiązków i powylegujcie się do samego południa.*

*Zobaczycie, że przyjdzie Wam do głowy mnóstwo pomysłów...* – Tak, a na maila dostanę wymówienie z pracy. Weź sobie dzień wolnego od pisania bzdur, kretynko. *Nauczcie się masażu* – nie mam kiedy. *Weźcie wspólną kąpiel - sam ledwo się mieszczę w wannie. Znajdźcie nowe zastosowanie dla przedmiotów codziennego użytku* – Może mam ją przetknąć, co? – *Coś dla leniwych. Zróbcie wspólne pranie i pozwólcie, aby pralka ruszała się za Was.* – To mi się podoba. To może zadziałać, pomyślał Igor.

Zwabienie Magdy do łazienki i namówienie do wypróbowania pomysłu kosztowało Igora tydzień zachodu i butelkę chilijskiego wina. Magda na początku była spięta i co chwila chichotała nerwowo, skarżąc się, że zimno jej w pupę. Igor za to nie dawał rady jej dosięgnąć i musiał podsunąć sobie pod stopy miskę. Miska pękła po minucie i zdesperowany Igor poleciał po trzy tomy *Encyklopedii Powszechnej*. Magda nie chciała jednak nawet słyszeć, żeby jej prezent na pierwszą komunię był użyty do takich rzeczy, więc Igor znów biegł do regału z książkami. Tym razem przyniósł trzy tomy *Historii filozofii* Tatarkiewicza w twardej, półciennej okładce.

Wszystko to jednak się opłaciło. Kiedy Magda wreszcie dała się przekonać, żeby rozchylić uda i wpuścić Igora, pralka zaczęła właśnie wirować po raz pierwszy. Magda krzyczała tak bardzo, że przestraszony Igor zaczął się szarpać, żeby ściągnąć ją z pralki i zakończyć całą zabawę. Nie było jednak takiej siły, która dałaby radę jej przerwać. Oplotła go nogami i rękami i darła się, darła jak obdzierana ze skóry...

Odtąd łazienka stała się ich ulubionym miejscem. Kosz na brudne ciuchy świecił pustkami, a zasłony i narzuty prali przynajmniej dwa razy w miesiącu. Zdarzały się poranki, kiedy Magda przed wyjściem do pracy zaciągała Igora na szybkie pranie kolorowych lekko zabrudzonych. Zresztą każde z nich miało swój ulubiony program. Magda uwielbiała długi dla białej bielizny, kiedy było dużo czasu na całowanie szyi, piersi i karku, a każde wirowanie odbywało się w jednej z dwóch pozycji: Magda siedząca na pralce z nogami rozłożonymi jak cyrkiel lub odwrócona tyłem i oparta o pralkę brzuchem z wypiętą w stronę Igora i Tatarkiewicza pupą. Igor za to najbardziej lubił szybkie kolorowe z podwójnym wirowaniem. Podczas tych wirowań Magda niemal traciła przytomność z rozkoszy. Odkryli, że na jesienną chandrę czy przemęczeniową depresję najlepsze jest pranie swetrów z niezwykle łagodnym, ledwie odczuwalnym wirowaniem. Obejmowali się wtedy bardzo mocno i szeptali sobie do uszu słowa pocieszenia. Z czasem zauważyli także (podczas prób u rodziców, przyjaciół i znajomych), że tylko ich pralka przynosi im taką, dziką rozkosz. Z innymi nie było mowy, o nawet dziesiątej części przyjemności.

Pewnego dnia ich szczęście runęło wraz z petem, którego wrzucił do otwartej muszli klozetowej, wezwany do zepsutej pralki mechanik.

- Pan wyrzuci to pudło i kupi nowe. Nie opłaca się naprawiać.
- Ale jak chcę – odpowiedział Igor.
- Nie ma sensu.
- Nie obchodzi mnie to. Umie pan czy nie?
- Części nie ma. Nic nie poradzę. Ten Bosch 3231 to była krótka linia. Tylko na rynek niemiecki. Nie wiem jak tu trafiła. Przestali ją produkować jakieś osiem lat temu. Części nie ma. Zamienników też nie. Nie urodzę panu. To nie żona. Kupi pan sobie nową i będzie dobrze.

**Maciej Dobosiewicz** – ur. w 1977 roku w Wejherowie, mieszka w Poznaniu. Zawód wyuczony – filolog (język chorwacki). Zawód wykonywany – copywriter. Pisze opowiadania o kobietach, mężczyznach i innych sprawach. Planuje napisać powieść. Kiedyś.

